



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

JAK SIĘ TO ROBI?

Wczoraj 8-go lutego, wybraliśmy się z dziećmi na dalszą przechadzkę, w górę Isonzo, pragnąc raz przecie iść ponad brzegiem pięknej tej rzeki, która w kamien-
nem swem łóżysku wije się jak wielki szmaragdowy lub
turkusowy wąż.

Dojechawszy do starożytnego Salcano, malowniczo
rozłożonego u stóp św. góry, na której znajduje się ko-
ściół z cudownym obrazem Matki Boskiej, a zszedłszy
zygzakowatemi ścieżkami wśród skał i wrzosów na dół,
doszliśmy do barki. Umocowana na silnej drucianej
linie, przewiozła nas ona na drugą stronę, po prądzie

tak wartkim, jaki miewają zwykle górskie rzeki, w swym górnym
biegu. Dzieci nie mogły się nacieszyć wodzie przezroczystej, a jednak
zielonej, toczącej się z błyskawiczną szybkością po głębokim kamie-
nistem łóżysku. Słońce świeciło jasno i grzało tak, jak u nas w końcu
maja — naokoło była cisza urozmaicona dalekim szumem wody, spa-
dającej po kamiennej poprzecznej tamie, o jaką wiorstę wyżej. Motyle
pstre i żółte ulatywały, to tu to tam, lutem cichym i nierównym.
Pszczoły, wywabione słońcem, żwawo uwijały się szukając pożywie-
nia, już tu dla nich rozstawionego, a muchy i komary brzęczały roja-
mi, muzyką tą zapowiadając stałszą pogodę. Wiosna wczesna, wła-
ściwa krajom gorącym, zstępowała na tę błogosławioną ziemię, grze-
jąc ją swym gorącym oddechem; rozbudzając do życia zioła, trawy

i kwiaty; złocąc słońcem skały i podniecając ociekłe żywicą, nabrzmiałe sokami
pączki drzew.

Na drugim brzegu poszliśmy ścieżką kapryśną, z jednej strony mając bystrą
modro-zieloną i mieniącą się rzekę, z urwistym brzegiem, odległym na kilkadzie-
siąt metrów, z naszej zaś strony, stromy i poszarpany brzeg skalisty porwany na
parowy i zakręty, obrośnięty bujną zielonością. Wszędzie wychylały do nas ze
szczelin swe żółte główki prawdziwe pierwiosnki, kłaniały nam się modre przy-
lasczki, białymi mrugając oczkami, a uradowane dzieci narwały cały pęk śnieguli
białych z zielonemi wewnątrz plamkami i prawdziwych szafranów *Crocus vernus*,
białych i lila, które tu dziko rosną.

Radości i wykrzyknikom nie było końca. Tu skała do pałki Herkulesa podło-
bna, a na niej bluszcz powykręcany jak wielki wąż, uczepił się pnem, jak ramię
grubym i u wierzchu dopiero rozbijał koronę ciemnych, zgrabnych liści. Tu wą-
ziutki strumyk skacze po skałach, jak kotek figlarny z kamyka na kamyk, szem-



rząc przytem jednostajnie, lecz mile. Tam zlepy kamieni okrągłych czyli konglomeraty, w groty i jaskinie u dołu wyszarpane, tworzą tu i owdzie wysoki porosłe w cieniu paprociami i mchami, a na słońcu bluszczem, dzikimi jeżynami, powojnikami i piórkami alpejskimi. Wszędzie roślinność bogata i urozmaicona, już rozbudzona do życia, oprócz drzew, które nad nami w koronę wznoszą się wysoko. Ale i te życiem pełną i weselem, bo się po nich czepiają bluszcze, tworząc do szerokich kolumn podobne, niby szaty ozdobne, nagie pnie drzew pokrywające. Pełno tu dębów i grabów, drobnych leszczyn i laurów, innych krzewów nie licząc. Nagle rozlega się okrzyk silniejszy od innych, bo dzieci ujrzały drzewo, jakiego dotąd nie miały sposobności widzieć. Bardzo wyniosłe, o szerokiej, lecz jeszcze teraz bezlistnej koronie, z pniem silnym, jakby wykutym z wapienia, którego tu wszędzie pełno, stoi ono na ziemi całkiem inaczej niż wszystkie. Dolna część pnia rozrosła się w kilkanaście posępnych konarów, grubych, powykręcanych, podobnych do nogi jakiegoś olbrzymiego, zaginionego zwierza. Członki tej nogi rozgałęziają się na mniejsze stawy i jeszcze mniejsze odnogi, niby palce, a te tyśięcznymi pazurami zdają się chwycić skałę kurczowo, wnioskując w każde najmniejsze jej załamanie, zagłębiając się w każdą szczelinę. Ziemi roślinnej wcale tu niema miejscami; miejscami znów jest jej tak mało, że wyżywić chyba tak wspaniałego drzewa nie może.

Jakże się to dzieje, że drzewo to które jest jednym ze wspanialszych buków przezemnie widzianych, może tu utrzymać się, że rośnie zdrowo i tak wielkich dosięgło wymiarów?

Popróbujmy sobie tę zagadkę wyjaśnić, bo jakkolwiek, kochani czytelnicy, pewno niewielu z was ten buk, o którym mówiłem, zobaczy, to niejedyn może i u nas widzieć braci jego w górach Świętokrzyskich lub w Tatrach. Może też kiedy będzie w Piotrowinie i tam mu pokażą lipę św. Stanisława, lub zobaczy drzewa rosnące na wapiennej opoce w Chełmskiem, na brzegach Wisły lub w Olkuskim.

Odrzuć kilka wyrazami opowiedzieć wszystkiego nie mogę. Jeżeli jednak zechcecie cierpliwie przeczytać do końca, co się tu napisze, to sądzę że tajemnica całkiem się wyjaśni.

Kamienie w łożysku strumienia Bystrego w Zakopanem są całkiem czerwone. Po drodze do Czarnego Stawu, widać na lewo wysokie skały, poplamione żłocisto, t. z. „Żółte Turnie”. Gdy się tym kamieniom z bliska przypatrzemy; gdy uważnie obejrzymy kamienie w polu u nas leżące, tu i owdzie szaremi plastrami upstrzone, to przekonamy się, że wszystkie te plamy są jakby z suchego zrobione papieru, lub lepiej z papierowej masy. Pod szkłem powiększającym, masa okazuje się złożoną z poplątanych z sobą podłużnych i poprzecznych komórek, różnie zabarwionych i zdradza się jako należąca do państwa roślinnego. W istocie rośliny te płaskie, do kamieni mocno przywarłe, zwą się *porostami*.

Porosty przedstawiają wielką osobliwość. Jak się przekonali uczeni, są one zawsze połączeniem z sobą jakiego wodorostu i grzyba takiem, że grzybek wodorostowi, a ten nawzajem grzybkiowi do życia pomaga. Nie może ulegać wątpliwości ten fakt, lubo bardzo dziwny, ponieważ udało się wydzielić niektóre grzybki z wodorostów i każdy osobno czas jakiś hodować.

Takie życie wspólne jednego z drugim zwie się w nauce *symbiozą* czyli współżyciem.

Otóż porosty są roślinami, które najpierw osiadają na twardej skale. Żyją one w znacznej części z powietrza i wilgoci, potrzebują jednak także trochę pokarmu mineralnego, a ten zabierają z kamienia. Może się to wydać rzeczą nieprawdopodobną, by drobnutki włóśnik korzeniowy potrafił naruszyć twardą materię skały, od której żelazne dłuto odskakuje. Tymczasem jednak czyni on to z pewnością, bo gdy porost uda się oderwać gwałtem, to pozostawia on na skale liczne ślady swych ssawek, które wyrwały się głęboko w powierzchnię kamienia, pokrywając go wyrazistą rzeźbą. Siłą, która twardy kamień kruszy i rozpuszcza, są kwaśne soki wydzielane przez korzonki, dopomagają też do tego i niesłychanie drobne żyjątka azototwórcze, w pobliżu korzonków gnieżdzące się i żyjące. Może o nich pomówimy kiedyindziej, jak na to zasługują; tymczasem idźmy dalej.

Po pewnym życia okresie, porost na kamieniu wyrosły obumiera; na innym zalegają się i plenią inne, po nich jeszcze inne. Jednocześnie też i siły przyrody pracują skutecznie nad zniszczeniem twardości i spójności skały. Woda przenika w szparki i szczelinki po korzonkach pozostałe, a zamarzając i powiększając przy tem nagle swą objętość, odłupuje i rozłupuje drobne kawałeczki. Teraz już po pewnym czasie, tworzy się na powierzchni bardzo cienka warstwa ziemi rodzajnej, tak jednak grubo, że na niej mogą się utrzymać mchy, paprocie niektóre, borówki i bluszcze. Są to wszystko rośliny przeważnie z powietrza pokarm biorące, opatrzone przytem różnemi narządami, służącemi im do przyczepienia się silnego, do szukania pokarmu nawet bardzo daleko i zbierania go najdrobniejszemi okruciami.

Jednocześnie torują one drogę w głąb, zaglądając do każdej szczeliny, do każdego rozłupania. Za niemi ślad w ślad przenika woda, rozpuszcza części skały, jako zawierająca w sobie pewne gazy, a zwłaszcza kwas węglany. Gdy się wody nagromadzi dużo, to przy zamarzaniu objawia rozszerzenie się jej z taką siłą, że odłupuje grube już skały drzazgi, niby jakieś niewidzialne, a wielce potężne dłuto.

Niechże teraz w szczeliny te dostaną się różne górskie roślinki; niech tam żyją i giną całe ich pokolenia, to z czasem utworzy się tu spora ilość ziemi rodzajnej, złożonej ze szczątków poprzednich pokoleń roślinnych i skalnych okruców, w ziemię zamienionych. W górskich krajach często widzieć można i szczeliny takie i nawet samą powierzchnię, łupków zwłaszcza, już w ziemię zamienionych, gdy na kilka ledwie centymetrów głębiej, skała jest jeszcze twarda i jędrna.

Przypadek, zwierzęta lub ludzie, rzucając często żołądź lub buczynę w takie szczeliny. Tu pod osłoną gnijących liści, w wilgoci, zaciszu i cieple, nasienie wschodzi i młody dąbek lub buk wyrasta. Zrazu żywi się ziemią rodzinną szczeliny, potem jednak już jej nie wystarcza. Wypuszcza więc korzenie na prawo i lewo, pełza po skałach powierzchni, natrafia na inną szczelinę i tę wyzyskuje, aż w końcu obejmuje ogromny obszar. Wtedy już nie tylko tysiące szczelin, ale i sama powierzchnia skały, trawiona jego sokami, na pokarm mu służyć musi.

Oto jak się dzieje, że buk nasz wyrósł potężny, że wypuścił te potworne łapy i pazury, którym się dzieci dziwiły. Dużo on musiał podjąć pracy, by z nieużytego i ubogiego gruntu pokarm wydostać. Jakimi szedł drogami, jakie mu w tem dopomagały siły, tego tu poruszać nie będziemy. Dowiedzie się o tem z botaniki. Tu chciałbym tylko rzecz samą

krótko objaśnić, a zarazem zaznaczyć, że buk lub dąb dzielnie przykładem swoim uczy, jakim i człowiek być powinien.

Pracować całe życie; dobywać pokarm wiedzy choć on w twardej skale trudności i przeszkód jest ukryty; kruszyć kamienie ciemnoty i złości i zamieniać je w pożywne soki wiedzy, mądrości i miłości bliźniego — oto nasze zadanie.

Po bukach i dębach, na ziemi rodzajnej przez nie wypracowanej, bujnie rosną inne drzewa i piękne lasy. Ludzka praca i dobre uczynki, również nie pójdą na marne. Owszem, staną się one pokarmem moralnym i materialnym i ziemią rodzajną dla następnych pokoleń, które po zdobyczach pracy i trudów przodków swoich, jak po wygodnych schodach pójdą coraz wyżej ku ostatecznemu ideałowi ludzkości, ku zbrataniu wszystkich w miłości Chrystusowej i zgodzie.

Dnia 9/2 1897 r. Goryca na granicy Włoch.

E. Jankowski.

KROLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawska.

(Dalszy ciąg).

Rzeczywiście rzecz od początku do końca szła nader gładko; w pięknych a okrągłych wyrazach wypowiedziano żądania swoje, zapraszając na tron Władysława, a niejednokrotnie brzmiała nawet sentencja łacińska.

Gdyby jednak panowie radni więcej byli nawykli do prac podobnych, łąco byliby poznali, że tam tylko myśl główna w tem piśmie widniała; z dyktowanych zaś przez nich wyrazów ani jednego nie było.

Całość jednak zyskała zupełną aprobatę; Gyöllos zaś położył na ławie pergamin i rzekł:

— No, przepis-że teraz dosłownie. A zostaw miejsce na nasze podpisy i pieczęcie — dodał Egörey.

— Jeno to wiedz, że do króla jegomości to się tylko na połówce pergaminu pisze — pouczał Kopaszad.

— Jeno się nie pomył, boć to pergamin nie deska — wylizywał zeń nie można — upominał Hollos.

Andor stojąc układowie słuchał dawanych mu nauk, mimo bowiem rzeczywistych zdolności miał w charakterze pewną uległość a przedewszystkiem cześć i poszanowanie dla starszych, którzy choć w sztuce pisania nie byli biegłymi, zajmowali wysokie stanowisko w narodzie i walczyli o całość granic kraju. Gdy zaś każdy dorzucił już swoje, Ujlakim się ozwał:

— Możebyśmy skrybę zostawili, niechby przepisał, a sami pomogli zacnemu naszemu posłom wybrać się do drogi.

— Prawda, prawda! ozwano się, zabierając do wyjścia. Andor stał wciąż i spoglądał nieśmiało już to na swego opiekuna, już na innych panów radnych.

— Masz jeszcze o co zapytać? — rzekł Sandor Ujlakim.

— Chciałbym was prosić miłościwy panie i ojcie, abyście mi pozwolili należeć do waszego orszaku — ozwał się przyciszonym głosem.

— Ha, pisz, i wybieraj się w drogę — odrzekł Sandor.

— Ba, nawet się i przydać może — rzekł poufnie Kopaszad do Ujlakima.

Hollos i inni skinęli głowami porozumiewająco, a wyszedłszy zadowoleni z podyktowanej petycji, zajęli się najpilniejszymi sprawami. Wysłali więc najpierw orędzie do po-

słów Władysława, aby nie szli dalej, jeno na nich na granicy czekali. Potem zaś żwawo gotowali się do drogi, aby jak najprędzej a z właściwą wspaniałością, godną tak wielkiej sprawy, wystąpić.

Andor, zostawszy sam, odszukał zostawioną w bokówce deseczkę i porównywał nakreślone na niej wyrazy z napisanymi pod dyktandem panów radnych. Czytał i poprawiał, a potem kształtnem piśmem ją przepisywał na pergaminie. Gdy zaś wschodzące słońce ozłociło promieniami uśpioną ziemię i zajrzało przez szczeliny zapory do opuszczonej chaty, przekonało się, że wśród ogólnego spoczynku czuwał młodzieniec, nie odrywając się prawie od pozostawionej mu pracy.

Skończył ją wreszcie, odczytał półgłosem i z pewnem zadowoleniem powstał z klęczek. Nachylony nad pisaniem przez ośm prawie godzin, zdrętwiałe miał członki, przeciągnął się więc i rzucił na ławę, chcąc nieco się przedzręmać. Wtem zapukano do drzwi; na znane hasło Andor otworzył. Byli to posłowie i panowie radni.

Kopaszad zaś rzekł zaraz od proga:

— Czytaj!

Andor nie dał sobie dwa razy powtórzyć i począł rzecz swoją.

Z wielkiem zadowoleniem wysłuchali odczytanej dźwięcznym głosem przez Andora petycji. Miano już kłaść podpisy i pieczęcie, gdy Kopaszad zawołał:

— Pokaż-no!

Andor zbliżył się z należnym ukłonem i podał pergamin.

Kopaszad ujął go w obie ręce, przewracał na wszystkie strony, oglądał, wreszcie począł przebiegać oczami i poruszać ustami, jak gdyby czytał.

Dziwny to jednak był sposób czytania, pergamin bowiem trzymany był do góry nogami.

Niemniej jednak po chwili zacny poseł oddał go stojącemu pokornie pisarzowi i rzekł:

— Nie opuściłeś i słowa, pamiętam każdy wyraz, który ci dyktowałem, podania nie powstydziłiby się najznakomitsi mędrcowie, ci tam od Greków.

— Ba, toć ja też z nimi brat za brat! — dodał jakby do siebie.

Panowie radni spojrzeli z uśmiechem na siebie, nie rzekli jednak ni słowa, jeno zapraszali pana posła, ażeby najpierw swój podpis położył.

Ale ten rzekł:

— Miejcież wyrozumienie, toć gdybym się sam wziął do tego, mielibyście jeno kłopot z podnoszeniem mnie z klęczek. I dodak:

— Skryba, pisz: Janos Kopaszad żupan, starosta i poseł naczelny. Andor spełnił rozkaz, a pan poseł podczas pisania stał za nim i dwoma palcami dotykał pióra.

Inni panowie szli za jego przykładem, lub też, klękając przed pergaminem, w prawie wypisywali swoje nazwiska.

IV.

Andor był ostatnim ze starożytnego rodu Atillakosów; ród ten wielkie zasługi położył dla kraju. Ojciec zaś chłopca idąc śladem swoich przodków, walczył z Turkami i zginął. Matka wkrótce umarła, a małego, dwumiesięcznego Andora wziął na wychowanie Sandor Ujlakim, baron na Wrtoczy.

Państwo Ujlakimowie nie mieli dzieci, przywiązali się więc do Andora, jak do własnego. Pani baronowa, Agosta żona, byłaby nawet chłopca do cna pieczętowała swymi popsuła, gdyby nie stanowczość jej zacnego małżonka, który mawiał:

— Przecie to nie szczenię, żeby się nim bawić, wychować go trzeba, a zacnie, choćby przez pamięć dla jego ojca, który był takim dzielnym wojakiem.

Zaledwie więc mały Andor z czworaków dźwignął się na dwie nogi, Sandor, ile był doma, do szabli go wprawiał; ale chłopak pobawił się nieco i na bok drewnianego konia i szabelkę odkładał.

— Niema zgoda upodobania do rycerskiego rzemiosła — utrzymywała pani Agosta.

— Co zaś, syn takiego wojaka nie miałby być rycerzem — odpowiadał Sandor.

I zaraz dodawał:

— Jeno go jejność nadto przy swojej spódnicy trzyma, a niewieściami zabawia czynnościami.

Pani Agosta uśmiechała się dobrotliwie, a pan Sandor się odgrażał:

— No, no, niechaj tylko podrośnie!

Lecz Andor, chociaż podrastał w lata, nie zdradzał jednak upodobania do praktyk rycerskich, za to ilekroć ujrzał litery, zaraz się im ciekawie przypatrywał, a potem na piasku usiłował także same nakreślić.

O księgi w domu Ujlakimów było niełatwo, zgoda ich nawet żadnych nie było, jedyną zaś rzeczą pisaną był wielki

i mnie nie osamotni! — dodała do siebie, westchnąwszy przytem serdecznie.

A miała czego, większą zgoda połowę swego żywota w samotności spędzała. Pan jej bowiem i małżonek Sandor, jak to miało i teraz miejsce, szykował pułki honwedów do walki, wprawiał je albo też za Turkien, grasującym wiecznie na pograniczu państwa, się ugańał.

Szczęśliwa więc była z owego chłopięcia w swoim osamotnieniu, a nie tylko mu tych zabaw spokojnych nie wzbraniała, lecz owszem dopomagała w nich i starała się skłonność ku takowym rozwijać. I teraz więc przypatrywała się pracy swego wychowanka, a nawet kazała ogrodzić niewielki plac w podwórzu, żeby chłopięciu zabawy jego nikt nie popsuwał. Sama zaś codziennie zabierała pergamin na noc i sama go przed dom wynosiła, gdy tylko chłopiec zażądał swojej zabawki, potem zaś zasiadała i przypatrywała się pi-



Lis niebieski i lemingi.

pargamin, pięknie w misterne ramy oprawiony, który jako własność Andora pani Agosta zawiesiła wraz z krzyżykiem nad łóżkiem chłopca. Był to dokument jeszcze przez króla Kolomana nadany jednemu z przodków Andora na baronstwo i posiadanie ziem do tego przynależnych. Ziemie jakoś oddawna ojcowie rozproszyli, a z całego majątku pozostał tylko pargamin. Chłopiec przypatrywał się nakreślonym na pargaminie literom, a ilekroć wybiegł na podwórzec, usiłował te litery na piasku naśladować. Nie szło mu jednak, zniecierpliwiło go to w końcu, wziął się więc na sposób. Przystawił sobie stołek do ściany, zdjął ów klejnot rodzinny, wyniósł go na podwórzec a, oparłszy pod ścianą, kreślił też same znaki, które na pargaminie czerniały.

Jak raz nie było w domu Sandora Ujlakima, nikt mu więc w tej robocie nie przeszkadzał. Pani Agosta bowiem, ujrawszy zabawę chłopięcia, pogłodziła tylko jego ciemną główkę i rzekła:

— Baw się, baw, toć cię ta zabawa przynajmniej w pole na harce nie zwabi, a na szwank i rany nie narazi! Ba,

szącemu z upodobaniem. Aleć deszcz nie miał względu ani na zabawę Andora, ani na uciechę pani Agosty, spadł deszcz w nocy i popsuł ich uciechę. Andor się zasmucił, ale nie stracił rezonu; począł nosić piasek do izby i na ubitej podłodze z gliny usypywać.

— Co ty robisz, chłopcze? — spytała go opiekunka.

— Szykuję sobie miejsce do pisania — odrzekł, nie przerywając roboty.

— Łebski chłopak — pomyślała sobie pani Agosta, razem z nim poczęła piasek usypywać i skrapiać go wodą, co tem łatwiej było, że z gliny ubita podłoga zupełnie się do tej praktyki nadawała.

Teraz Andor kreślił już swobodnie patykami litery, bo tak pani Agosta jako i cały dwór z wielką oględnością około tej zabawki chłopięcia chodzili, ażeby jej broń Boże, w niczem nie uszkodzić.

Lecz Andor nieraz sam całą swą pracę psował, równał piasek i znów na nowo kreślić na nim znaki począł.

I tak przy tej zabawie zeszło bodaj i parę tygodni, gdy dnia jednego Sandor Ujlakim nagle powrócił.

Andor był tak zajęty w izbie kreśleniem na piasku, że nie słyszał ani tententu koni, ani gwaru przybywających, ani nawet wołania pani Agosty.

— Gdzież Andor? — spytał dowódca, przyzwyczajony, że chłopiec zawsze wybiegał na jego spotkanie.

— Zabawia się w swojej izbie, ani słyszy, co się koło niego dzieje — odrzekła Agosta.

— Hm, hm — mruknął Sandor. — Cóż to zacz za zabawa? i pospieszył do wychowańca.

— Ach, jak to dobrze, żeś przyjechał, kochany ojcie! — zawołał chłopiec, podbiegając ku przybyłemu.

Ujlakim przypatrywał się z uwagą jednemu i drugiemu, kręcił głowę, a chociaż nie umiał dokładnie przeczytać ani jednych ani drugich, musiał jednak przyznać, że zabawka Andora jest bardzo podobna do znaków na pargaminie.

— Hm, hm! — mruknął baron, kręcąc po swojemu głowę.

— A cóż ty, masz ochotę być księdzem? — zapytał.

— Księdzem? — odpowiedział również zapytaniem chłopiec.

— I chwilę się zamyślił.

— Księdzem, nie wiem, ale do pisania mam wielką ochotę — rzekł po chwili, patrząc błyszczącymi oczami na swego opiekuna.



Najwyższy szczyt Himalajów.

Ujlakim uśmiechnął się na to miano, którem kazał się zwykle wychowawcowi nazywać i położył swą szeroką dłoń na ciemnej głowie chłopca.

— Cóż, tęskniłeś za mną! — zapytał Ujlakim.

— Och, i bardzo, ale kiedy ojciec tam żołnierzy mustrował, i ja nie próżnowałem — rzekł Andor.

— O, o! i wskazał ręką nakreślone znaki na piasku.

— Cóż to zacz? — spytał przybyły.

— Uczę się pisać! — zawołał z prawdziwą dumą chłopiec.

Ujlakim pokręcił głowę, przypatrywał się niezrozumiałym dla siebie znakom, wsuwając przytem i wysuwając głowę w wysokie ramiona.

— Zkądże ci tak przyszło? — zapytał.

— A oto na tym obrazku zobaczyłem znaki i dopóty kreśliłem, póki nie nakreśliłem. Patrzcie, ojcie, jakie podobne! — wołał chłopiec, wskazując na pargamin i swoją pracę.

I zaraz dodał:

Większą niż do zabawy szabelką...

— No, no! — rzekł Ujlakim, przypatrując się ciągle nakreślonym na piasku znakom.

— Osobliwe, osobliwe! — powtarzał, obchodząc dookoła ostrożnie piasek, ażeby nie uszkodzić pracy swego wychowawcy.

— Osobliwe, powiadam, jak też to czasem dziecko się odrodzi... Atilakosów ród-wojaczy, ojciec jego ledwie z piełuch wyszedł, a już był w obozie, mleko miał pod nosem, za Turkiem się uwijał, a ten... no, no, osobliwe! — mówił do siebie Sandor, jakby namysławiając się. Tymczasem pani Agosta, stojąc zdala, śledziła ruchy i zachowanie się małżonka, ciekawa, jakie zabawka Andora wrażenie na nim zrobiła.

— Chyba go oddać na naukę? — rzekł mąż, zwracając się do pani Agosty.

Zacnej kobiecie zasępiło się lice.

— Jakże tu rozstać się z tym chłopcem — pomyślała sobie.

A idąc za swoją myślą, rzekła:

— Toć to dla szczęścia jego, chyba go oddać, boć on w tem tylko ma upodobanie.

(d. c. n.)

ZIMOWE KWIATY.

Ach, co tu białych kwiatów!

Tak sypią się z nieba,

Że wszystkie pola, lasy już osnute...

Lecz te kwiaty przynoszą jakąś tęskną nutę,

J ptaszę nie świergoce, zwierz głucho poryka.

* * *

Ach, te kwiaty, choć białe, choć spłynęły z nieba,

Taki chłód nam przynoszą,

Choć błyszczą wśród słońca,

Żadna woń z nich nie spływa, ni fala gorąca,

Ani rosa, co zwykle w kwiecie się zamyka.

* * *

A przecież w kwiatkach białych, co spadają z nieba,

Błyszczą światel miliony, gdy promienie słońca

Spojrzą swem światłem jasnym od końca do końca

Na pola, łąki lasy, smutne uroczyska.

* * *

Pod kwiatów tych osłoną czarna macierz, gleba,

Odpoczywa po trudach cicha i spokojna.

Od mrozów i od wichrów ich opieką zbrojna

Spi bezpiecznie.

* * *

Aż tam w górze błyska

Promienne światło słońca, i w okrag błękitu,

Rozprósza chmury ziemi, co puchy sypały,

I oto się rozjaśnia nieba błękit cały,

A na białej powłoce drżą światel tysiące.

Migocą się purpurą i wśród zorzy świtu.

Przetykanej rubiny, brylanty, szafiry

Drżą tęczwami blaski.

* * *

A z niebiańskiej liry

Spływają jakieś tony, nieznane i drżące,

Rzucając w serca błogą nadzieją zachwyty,

Że z pod tych kwiatów śnieżnych, chłodnych a bez woni,

Wstanie zieleń wiosenna, a wśród tej toni,

Wśród barw tysiąca jasnego rozkwitu

Zapomną lasy, pola, łąki, macierz gleba

Śniegu, co dla ochrony zsyłały jej nieba.

Z. Morawska.

LIS NIEBIESKI I LEMINGI.

Rycina nasza przedstawia chytrego mieszkańca najmniejszych krajów północnych w pogoni za drobnymi zwierzątkami, żyjącymi gromadnie w tamtych strefach.

Lis niebieski, czyli piesiec, różni się od naszego zwyczajnego lisa mniejszym wzrostem i pięknem futrem, bardzo przez krajowców poszukiwanem. W lecie barwa jego jest szara, w zimie biała, czasami z odcieniem niebieskim. Piesiec zamieszkuje podbiegunowe okolice starego i nowego ładu; dla zabezpieczenia się od zimna kopie w śniegu głębokie nory, z kilkoma ujściami miękkim mchem wyściełając legowisko

swoje. Lisy te są tak zuchwałe, że dla pochwycenia zdobyczy wdzierają się do mieszkań ludzkich, śledzą ruchy człowieka, chwytają podstępnie z rąk jego kawałki mięsa, lub śpiącym obgryzają obuwie. Gdy morze wyrzuci szczątki jakiego zwierzęcia, lisy unoszą je częściowo i ukrywają starannie przed ludźmi. Tym ostatnim trudniej zabezpieczyć się od ich grabieży, gdyż wygrzebują zakopane w ziemi przedmioty i pomagają sobie wzajemnie w rozwalaniu całych stosów kamieni, chroniących požadaną dla nich zdobycz.

Lemingi, jak to już dawniej mówiliśmy, są to drobne zwierzątka, zamieszkujące głównie wyżyny północnej Skandynawii. Żywią się one mchem, gęsto rosnącym na suchych torfowiskach, a gdy im w letniej porze żywności tej zabraknie, w poszukiwaniu żeru odbywają dalsze wędrówki tak gromadnie, iż dały powód do baśni, że spadają z nieba i nikną cudownie. Zwierzątka te nie są szkodliwe, albowiem żywią się roślinami na takiej wysokości w północnym klimacie, gdzie nie istnieje już uprawa roli.

Najwyższy szczyt Himalajów.

Góra Gaurisankar, zwana przez Anglików „Mont-Ewerest” wyniesiona na 27,212 stóp nad poziom morza, jest najwyższym szczytem łańcucha Himalajów, ciągnącego się na przestrzeni trzystomilowej pomiędzy Tybetem i Indiami Wschodnimi. Szerokość tego łańcucha wynosi od 30 do 50 mil.

Szczyty tych olbrzymów jaśnieją niepokalaną białą szatą, skąd też pochodzi krajowe ich miano: Himalaja, znaczące w języku sanskryckim — pomieszczenie śniegu. Linia śnieżna na południowej stronie Himalajów zaczyna się na wysokości 11,700 stóp, na północnej zaś około 16,000.

Uczeni badacze natury tych gór olbrzymich odróżniają wpośród ich łańcucha pięć stref oddzielnych, z których pierwsza najniższa ma ku wschodowi klimat zwrotnikowy, ku zachodowi zaś ciepły umiarkowany; ostatnia leży już poza linią śnieżną i ma klimat zimny.

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

Reynolds wdrapał się na szczyt pagórka, aby się rozejrzeć po okolicy; Olaf, który go od niejakiego czasu nie odstępował, znalazł się niebawem przy nim.

— Patrz — rzekł kapitan — popłynęliśmy trochę na południe, chociaż nie tyle, ilem się spodziewał i zauważył, że to, co przepowiadałem sprawdza się. Wszystkie większe bryły lodu uniósł prąd ku łaadowi i wkrótce wypłyniemy na czyste morze.

— Ale kto wie, czy nas wtedy prąd nie rzuci na tę górę, którą widzimy u wybrzeża?

— Nie mów nawet o tem, mój chłopcze, bo choć bryła, na której się znajdujemy, jest mocna, to jeśliby się tylko uderzyła o górę, rozpadłaby się w kawały, a wtedy czeka nas śmierć niechybna.

Na szczęście nie sprawdziły się obawy Olafa, bo bryła, wydostawszy się na czystą wodę, wpadła w prąd przeciwny, który ją uniósł na północ.

Okrzyk radości wyrwał się ze wszystkich piersi i nie tracąc chwili, nasi podróżnicy spuścili łódzie, aby się przy ich pomocy dostać do ziemi obiecanej.

Tak się skończyła owa noc pełna trwogi.

VIII.

Swolto widzi ducha. — Dziwni ludzie.

Po dwugodzinnej żegludze bardzo uciążliwej, gdyż marynarze nasi musieli walczyć z prądami, udało im się przybić do skalistych wybrzeży Grenlandyi, do ziemi obiecanej.

Lecz nie była to owa ziemia obiecana, płynąca mlekiem i miodem; skały piętrzyły się jedna nad drugą i gdzieś tam tylko w szczelinach wyrastała cieniutka trawka lub wybladły kwiatek.

Od południa gnieździły się na skałach niezliczone roje ptaków, które swym świergotem głużyły huk morza rozbijającego się o wybrzeże.

Na wschód rozciągał się szafirowy ocean, na którym gdzieś tam pływały białe kry, lub bawiły się foki i lwy morskie. Dalej widniało pole lodowe, tak puste i tak zimne że Collin wzdygnął się myśląc o niebezpieczeństwie, które przebyli.

Gromada ptaków porwała się z ziemi i trzepocząc głośno skrzydłami, odleciała pomiędzy skały. Chłopcy spostrzegłszy to, pobiegli do obozu, niosąc małe flowery, a Olaf przerzucił sobie jeszcze przez ramię swoją zwykłą fuzyę, bo rzekł — kto wie, czy niedźwiedzi nie spotkamy.

Tym razem nie wypłoszyli żadnego mysia, ale przynieśli do obozu pięć kaczek i wątrobę z foki. Spotkali ją pod skałami, gdzie się wygrzewała na słońcu i choć żal było zabijać to biedne zwierzę, jednak żyłka myśliwska przemogła i jednym strzałem Collin położył je trupem.

Sigurd oskubał kaczki i usmażył je ze słoniną, wątrobą foki i jarzynami. Utworzyło to potrawę bardzo smaczną, która z dodatkiem kawy zupełnie postawiła na nogi naszych podróżnych.

Reynolds postanowił zatrzymać się przez cały dzień, aby dać wypocząć swoim ludziom.

Po śniadaniu zapalono fajki i zaczęła się bardzo ożywiona rozmowa. Zaczęła się, lecz nie trwała długo, gdyż powoli sen ich opanowywał i jeden po drugim wsuwali się do swoich worów.

Swolto usiadł na wysokiej płaskiej skale na słońcu ponieważ to była jego godzina straży. Cezar i Keltie dotrzymywały mu towarzystwa.

Właściwie one to pilnowały obozu, bo biedny Swolto, okrutnie zmęczony, kiwał się na swem twardym siedzeniu, a potem oparł głowę na rękę i twardo usnął.

Nagle psy zaszczeakały. Swolto zerwał się i schwycił strzelbę do ręki. Psy stały z włosem najeżonym obok niego, grzebiąc ziemię tylnymi nogami. I biednemu chłopcu niebawem włosy stanęły dębem na głowie, bo między skałami ujrzał przebiegający cień, który wziął za nadprzyrodzone zjawisko, za ducha pustyni.

Kiedy ten znikł, Swolto przybiegł ze strasznym krzykiem do namiotu i opowiedział swoje widzenie, ale Reynolds tylko się uśmiechnął i rzekł:

— To był pewnie Eskimos, w pobliżu musi być wioska i niedługo więc ich spotkamy.

Eskimosi, którzy zamieszkują wybrzeża Grenlandyi odznaczają się niezmiernie łagodnym charakterem. Jeżeli nigdy przedtem nie widzieli białych, to się kryją do swych chałup, wykopanych w śniegu, ale wystarcza tylko trochę łagodności i dobrej woli, aby ich ośwoić.

Tajemnicze widzenie Swolta tego dnia się nie wyjaśniło, gdyż choć sam kapitan z chłopcem obchodził wybrzeże, nie znaleziono śladu wioski.

Ale zrobili ważne odkrycie, a mianowicie, że się znajduje na wyspie, oddalonej od stałego lądu wąskim kanałem, który teraz pokrywał całkowicie śnieg i lód.

Nigdzie nie dostrzeżono śladów nóg, zapewne Eskimos przybył w łodzi.

Józef trzymał straż wieczorną zmienić go miał Collin, Swolto ani słyszeć nie chciał o tem, żeby część nocy spędzić na dworze pomiędzy temi siwemi skałami. Nie bał się on ani zwierząt dzikich, ani łowców, ale drżał na myśl spotkania powtórnego z duchem.

Józef zbudził Collina po dwunastej. Chłopak zerwał się na równe nogi, to jest wysunął się spiesźnie z worka, zostawiając Olafa mocno śpiącego. Cezar, który spał z obu chłopcami, widząc, że pan jego wychodzi, przeciągnął się leniwie, pokiwał ogonem i poszedł za nim.

Przez całą godzinę Collin chodził prędko tam i napowrót, żeby się rozgrzać. Cezar, którego pan Bóg obdarzył ciepłym futerkiem, zwinął się w kłębek i zasnął, ale jednym uchem wciąż nasłuchiwał.

Niebo było czyste i gwiazdy świeciły tak jasno, że się zdawały tuż nad ziemią. Wiatr zupełnie się uspokoił i cisza przerywała tylko monotonne pluskanie fal o wybrzeże. Od wschodu niebo się rozjaśniło, łodowce zaczęły błyszczeć i ponad morze wyrzała blada tarcza księżyca. Niezwykła cisza zapanowała w przyrodzie, cisza tak wielka, tak głęboka, że Collin zapomniał o towarzyszach, śpiących pod namiotem, o swoich obowiązkach, jako strażnika, oparł się na strzelbie i pogrążył w zadumę. Nie dziw, że w taką noc myśli jego uleciały do kraju, że przypomniawszy sobie starą ciotkę, dom stryja, który się nim tak serdecznie opiekował a potem zaczął myśleć o rodzicach. Ojca prawie nie pamiętał, ale matka stanęła mu żywo przed oczami, więc ukłękł i zmówił Wieczny Odpoczynek za jej duszę. Modlitwa uspokoiła go i zwróciła jego myśli na weselsze tory. Wziął fuzyę na plecy i zaczął śpiewać.

Niebawem z namiotu wysunął się Rudland.

— Czy ja pana zbudziłem — zapytał Collin niespokojnie. — Nie wiem, skąd mi przyszła ochota śpiewać.

— Nie, mój chłopcze, sam wstałem, aby zobaczyć, co się dzieje. Jakaż to noc przepyszna.

— Czy pan widzi to światło tam na lewo.

— Pewnie promienie księżyca odbijają się na bryle lodu.

— Ale gdzie tam. Wyraźnie się porusza. O! teraz schowało się za skałą.

Collinowi przyszedł na myśl duch, widziany przez Swolta; cóż to mogło być, człowiek czy przywidzenie?

— Muszę się przekonać, co znaczy to światło — rzekł Rudland po chwili.

— Niech pan sam nie idzie, a ja nie mogę zostawić obozu samego.

— Eh! nic mi nie grozi, a dla bezpieczeństwa wezmę strzelbę.

Rudland, jako człowiek przezorny, nie szedł wprost na światło, z obawy, że spłoszy Eskimosów, jeżeli to byli oni, ale przemyskał się pod skałami wśród cieniu. Doszedł niebawem do skały, którą porastał tymianek i kwitnące pierwiosniki, okrążył ją dokoła, ale nigdzie nie znalazł otworu.

Już miał z niczem wracać do obozu, gdy w ucho mu wpadł dźwięk rozmowy, wychodzącej jak gdyby z pod ziemi. Potem krzaki, rosnące tuż przy nim rozsunały się i zabłysło światło.

Przed Rudlandem stał mały człowieczek, zapewne ów duch Swolta. Nasz doktor, nie tracąc czasu, chwycił go za ramię, lecz człowieczek wrzasnął przeraźliwie wyrwał się i wskoczył do piwnicy. Doktor szedł za nim.

Scena, jaką ujrzał w podziemiu była w najwyższym stopniu zabawna. Ale trzeba przyznać, że choć Rudland był studentem medycyny i w teatrze anatomicznym przywykł do bardzo niedobrego powietrza, to jednak dwa razy się zatrzymywał, zanim wszedł do chaty Eskimosów. Dokoła dwóch wielkich dymiących lamp siedział cały tuzin kobiet, mężczyzn

i dzieci. Obok na ziemi leżała na wpół zjedzona, nawpół zepsuta foka, i ona to nadawała ten straszny zapach całemu mieszkaniu.

Przy wejściu Rudlanda Eskimosi zerwali się z krzykiem i rzucili w ciemny kąt izby. Krzyk ich jednak nie rozlegał się głośno, była to raczej skarga żalosna, którą powtarzały kobiety i dzieci.

Doktor uśmiechał się, kiwał głową, aby ich ośmielić, ale nadaremno.

Rudland wyjął papierosa i zapalił, wiedząc, że mieszkańcy północy niezmiernie lubią dym z tytoniu. I w istocie zbliżył się do niego jeden z człowieczków, wężąc uważnie. Rudland dał mu szczyptę tytoniu, którą natychmiast włożył do ust. Doktor podał mu drugą szczyptę, ale z kąta wysunął się karzeł z długimi rękami, i z iście małpią zręcznością wyrwał mu tytoń i zaczął gryść łapczywie.

W ten sposób lody się przełamały, gdyż doktor miał znaczny zapas tytoniu i obdarzył nim całą rodzinę.

Sądząc z małej ilości sprzętów, znajdujących się w podziemiu, Rudland wywnioskował, że to nie jest ich zwykłe mieszkanie, lecz schronisko, które sobie obrali na czas rybołówstwa i polowań. Rudland przyjrzał im się dobrze, a ponieważ rozmowa była niemożliwa, więc zawrócił i wyszedł na świat Boży, podziwiając zdrowe płuca Eskimosów, którzy nie podusili się w tem podziemiu. Opowiedział Collinowi swoje przygody i poszedł spać.

Nazajutrz rano cała kolonia odwiedziła obóz, a choć podróżnicy nasi nie mieli zbyt obfitych zapasów, jednak chętnie podzielili się z biedakami.

Sigurd, jedyny z całej wyprawy znał trochę ich język i przez niego nabierano wiele ważnych informacji.

Dowiedział się od nich, że o kilka mil na północ znajduje się duża osada Eskimosów, którzy żyli z polowania i rybołówstwa, posiadali mnóstwo namiotów i byli bardzo zamożni. Oni zaś mieli swe stałe siedziby nad brzegiem morza na urwistej skale, lecz dostać się tam nie można inaczej jak tylko łodziami, i chłopak, którego Swolto wziął za ducha, ofiarował się im służyć za przewodnika.

Zwinięto więc natychmiast obóz i namioty i wszystkie zapasy poniesiono znów do łodzi.

Przez cały dzień nie spotkano ani jednej ławicy lodu i pod wieczór, po bardzo szczęśliwej podróży, nasi przyjaciele wylądowali wśród dzikich skał, aby tam spędzić noc. Nazajutrz wpłynęli między drobne wysepki, lecz teraz droga nie była wolna, co krok spotykano bryły pływające pojedynczo, które trzeba było odpychać hakami. Wreszcie zmęczeni i strudzeni przybili do samotnej skały i po wieczery wszyscy ułożyli się do snu w futrzanych worach z wyjątkiem Olafa, który miał stać na straży.

W czasie noclegu zniknął przewodnik, mały Eskimos; podróżnym naszym wydało się to trochę dziwne, ale nie lekali się zabłądzić, wiedząc z opowiadania, że osada znajduje się w głębi wąskiej zatoki, u której ujścia leżała właśnie owa skała. Wpłynęli więc odważnie między dwie strome ściany, płosząc po drodze stada morskich ptaków, które, jak białe płaty śniegu, wlatywały do góry i siadały na najwyższych cyplach skał.

Około południa dotarli nareszcie do wioski Eskimosów, poza którą wznosiły się strome góry, połyskujące gdzieniegdzie lodowcami.

Tu dowiedzieli się o przyczynie ucieczki przewodnika. Wybiegł on na ich spotkanie i powiedział Sigurdowi, że umyślnie pospieszył naprzód, aby uprzedzić mieszkańców o przybyciu obcych dobrych ludzi i przygotować im serdeczne przyjęcie.

Widocznie musiał o nich wiele dobrego powiedzieć, bo ledwie podróżnicy wylądowali, obstała ich cała gromada dzikich, przyglądając się z ciekawością ich ubraniu, a zwłaszcza strzelbom.

Za Eskimosami pociągnęły tłumnie psy dzikie i kudłate jak wilki. Kiedy Cezar wszedł pomiędzy nie, to wyglądał tak wspaniale i potężnie, jak sławny wódz, którego imię nosił wyglądał między Bretonami.

Psy Eskimosów zobaczywszy tego olbrzyma, zaczęły szczekać i rozbiegły się na wszystkie strony. Cezar odpowiedział im grubym głosem, co te biedne psiska jeszcze bardziej przeraziło, tak, że pochowały ogony pod siebie i ukryły się w chatach.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

Encyklopedia ilustrowana.

Młodzi nasi czytelnicy prawdopodobnie nie nauczyli się jeszcze posługiwać encyklopedyą, bo gdy czego nie wiedzą, pytają starszych, którzy ich objaśniają o wszystkim. Ale nie wszyscy znajdują się w takim szczęśliwym położeniu: są i tacy, co nie zawsze mają się kogo spytać i sami sobie radzić muszą. Dla tych ostatnich zwłaszcza prawdziwie pożyteczną być może *Encyklopedia Ilustrowana wiadomości pożytecznych*, z dziedziny aeronautyki, anatomii, architektury, astronomii, botaniki, chemii, elektrotechniki, fizyki, fizjologii, geologii fizycznej, higieny, kosmografii, matematyki, mechaniki, meteorologii, mineralogii, ogrodnictwa, przemysłu, rolnictwa, sportu, technologii, wojskowości, zoologii i żeglarsstwa.

Z Encyklopedyi tej o wszystkim w skróceniu dowiedzieć się można — a wiadomości objaśnione są bardzo ładnymi, wyraźnymi rycinami, których jest wielka obfitość. Wydawca, p. Michał Arct, obiecuje, że wszystkich będzie 2,000. Całość składać się ma z 52 arkuszy druku — a dotąd wyszła już połowa, czyli zeszytów 14, aż do litery K. Wydawnictwo to obmyślane jest dla wygody osób dorosłych, zawiera bowiem krótkie, treściwe informacje z zakresu różnych gałęzi nauk, których każdy myślący człowiek codziennie potrzebuje — ale, młodzież z korzyścią posługiwać się tą Encyklopedyą może.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Jak się to robi? przez E. Jankowskiego. — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Zimowe kwiaty, wiersz Z. Morawską. — Lis niebieski i lemingi (z ryc.) — Najwyższy szczyt Himalajów (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego. Dodatek: Sprzeczny Lucio przez H. Go-t. (z ryc.) — Ukaraný gołąbek wiersz. — Pogadanka z wujem. — Bracia jaszczurkowie. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE



Nie dam ci beksa, lalki!

Sprzeczny Lucio.

— Oddaj lalkę, to moja lalka — woła z płaczem małeńka Kasia, wrywając się z rąk uspokajającej ją Wańdzi. A Lucio trzyma za nogę lalkę, śmiejąc się i raz poraz powtarza:

— Nie dam ci, beksa, lalki, nie dam ci lalki; możesz sobie krzyczeć, ile ci się podoba.

Sceny podobne powtarzają się prawie codziennie.

O! bo Lucio ma brzydką, bardzo brzydką wadę: oto sprawia mu dziwną przyjemność sprzeciwianie się, i najczęściej ofiarą jego upodobania bywa małeńka jego siostrzyczka.

Napróżno upomina go Wańdzia, tłumacząc, że, jako starszy, nie tylko sam sprzeciwiać się nie powinien, ale nawet obowiązkiem jest jego ustępować młodszej siostrzyczce. Nieraz też i od ojca za to oberwał.

— A dlaczego ona taka beksa? — pyta, śmiejąc się z łez dziewczynki.

Lucio w gruncie rzeczy nie jest złym chłopczykiem i za chwilę odda Kazi lalkę, a nawet da jej coś ze swoich zabawek: żołnierza, pajaca, albo coś innego, byleby się uspokoiła; ale ktoby w tej chwili wszedł do pokoju i ujrzał go, jak z zadowoleniem patrzy na smutek Kazi, musiałby pomyśleć sobie:

— O! to bardzo zły chłopiec!

Jednym słowem owa chęć sprzeciwiania się robiła go niegrzecznym, nieposłusznym napomnieniom rodziców,

nielitościwym i niewdzięcznym dla starszej siostry, którą zasmucał bardzo, choć wiele doznawał od niej dobrego.

Wańdzia była już uczennicą drugiej klasy, więc wszystkie bardziej dziecinne zabawki oddawała Luciovi i Kazi. Były tam fajansowe talerzyki do gospodarstwa, pudełka od cukierków, flaszeczki od perfum, pieczątki, obrazki i wiele innych rzeczy. Gdy glansowany, różnokolorowy papier, którym okładała kajety, zbrudził się trochę, również dawała młodszemu rodzeństwu.

— Ale teraz wszystko dostawac będzie tylko Kazia.

— Bardzo dobrze, nie dbam o twoje podarunki — mówi zadąsany Lucio — jak zechcę, to mogę sobie kupić.

— Nie kupisz, bo nie masz pieniędzy — zawołała płacząc Kazia — a tatko ci nie da nic, jak mu powiem, że znów mi się sprzeciwiasz.

— Tym razem — wtrąciła Wańdzia — nie będę prosiła Kazi, żeby się nie skarżyła; jeżeli ty nie masz tyle serca, żeby nie martwić dziecka, to nie potrzebuję cię żałować.

— Okropnie się was boję — zawołał drwiąco Lucio, choć naprawdę miał łzy w oczach, bo bał się ojca nie na żarty.

— Myślisz, że cię będę prosił o przebaczenie — dodał po chwili — o, mylisz się bardzo! A ty weź sobie swoją lalkę, i rzucił lalkę na ziemię.

W tej chwili wszedł do pokoju ojciec.

— Co tu się stało? — zapytał, zobaczywszy zapłakaną Kazię i leżącą na ziemi lalkę.

Wańdzia i Kazia milczały.

— Proszę tatki — zaczął nieśmiało Lucio — wzięłam na żarty lalkę Kazi, a ta się zaraz rozbeczała.

— Rozpłakała — poprawił ojciec.

— Więc jej lalkę oddałam.

— To jest rzuciłeś na ziemię; piękny sposób oddawania, niema co mówić. — Słuchaj, Luciu — dodał ojciec poważnie i surowo — już nieraz karałem cię za to, że sprzeciwiałeś się Kazi, widzę jednak, że to nie pomaga, ale bądź pewien, że świat cię z tej wady wyleczy. Bo jeżeli Bóg dał ci więcej sił, niż Kazi, to nie na to, żebyś ich nadużywał. Jesteś zły i przytem niemądry.

Lucio rozpłakał się, chciał przeproszać, ale ojciec odszedł i zamknął drzwi od swego pokoju.

Chcecie zapewne dowiedzieć się o dalszych losach przekornego Lucia?

Oto, wstąpiwszy do szkoły, zaczął sprzeciwiać się swoim kolegom. Z początku bawiło to niektórych i śmieli się z gniewu towarzyszy, ale uprzykrzyło im się to w końcu i zaczęli stronić od Lucia.

Później znienawidzili go nie na żarty, i oto ten Lucio, który lubił innym dokuczać, na każdym kroku sam doznawał przykrości.

Raz nawet zmówili się i dobrze go obili.

Ojciec miał słuszność: świat poprawił Lucia, ale przydomek dokuczliwego chłopca długo mu jeszcze pozostał.

H. Go-t.

UKARANY GOŁĄBECZEK.

Bielutki gołābeczek

Chyli się ponad wodą,

Patrząc w nią, jak w zwierciadło,

Cieszy się swą urodą.

„Spojrzyjcie tylko, proszę”,

Zagruchał z dumą wielką,

„Nade mnie piękniejszego

Niema z pewnością wszelką.

Piórka mam jak ze śniegu,

A dziobek różowiutki;

Ach, cieszę się serdecznie,

Że jestem tak śliczniutki”.

Gruchając tak gołābek,

Coraz się niżej chyli,

Aż nagle równowagę

Utracił w jednej chwili.

Wpadł w wodę główką na dół,

Wziął kąpiel niespodzianą

I jeszcze musiał znosić,

Że się zeń wkoło śmiano.

Rzecz bardzo to naganna

Pysznic się swą urodą,

Dowiedział się gołābek

O tem ze swoją szkodą.

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

(Dokończenie).

— A dzikie kaczki, na które wujek poluje, czy też mają takie miękkie piórka?

— Pierze naszych dzikich kaczek, jak cyranek i krzywówek, nie ma już tej wartości; żyją wszakże w zimnych stronach północy tak zwane kaczki edredonowe, które wielkością dorównują naszym gęsiom, a których puch nadzwyczaj delikatny i ciepły stanowi przedmiot rozległego handlu, dając krajowcom biednych tych okolic dość znaczne zyski.

— A czy prawda, wujaszku, że gęsi są głupie ptaki?

— Wielkim sprytem i przebiegłością nie odznaczają się pewnie, szczególniejsze swojskie, kiedy porównują z niemi kogoś niezbyt mądrego, co wszakże nie wpływa ujemnie na dobry smak ich mięsa i wartość upierzenia. Umieli to cenić już nawet starożytni Egipcyanie, którzy nawet część boską im oddawali. Oni też prawdopodobnie najpierwsi gęsi, jako ptactwo domowe, oswoił.

— Więc już teraz niema dzikich gęsi?

— Przeciwnie, jest ich nawet kilka gatunków, które wszakże przez nasz kraj przeciągają, czyli przelatują tylko, lato bowiem spędzają wyżej ku północy, a na zimę znowu do ciepłych podążają okolic.

— Ale te śliczne łabędzie z długą, wygiętą szyjką, tak wspaniałe i dumne, kiedy się napuszczają i skrzydła rozciągają, czy one też bywają, jak kaczki i gęsi, hodowane w gospodarstwach?

— Właściwie łabędzie nie liczą się do ptactwa domowego, stąd też po wsiach mało je spotykamy, czasem tylko i to najwyżej po kilka pielęgnują je dla przyjemności, są bowiem wielką ozdobą wód, na których żyją. Że jednak ich bieluchne puchowe sukienki na równi prawie z puchem edredonowym są cenione, znajdują się więc np. w okolicach Berlina, stołecznego miasta Prus, olbrzymie hodowle łabędzi, zostających pod nadzorem rządowych urzędników.

— A gdzie żyją one jeszcze dziko i swobodnie? — wypytywał ciekawy Władzio.

— Ojczyznę białych łabędzi są od najdawniejszych czasów niektóre wybrzeża morza Śródziemnego, chociaż załatują też czasem na wielkie jeziora wśród łąd. Te zaś z czarnem upierzeniem, od którego ślicznie odbija ich dziób czerwony, a których również jest kilka w Saskim ogrodzie, przywiezione zostały z bardzo dalekiej od nas części świata, zwanej Australią.

BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

— Nie! Mam jeszcze dość siły, by ci w oczy rzucić moją pogardę!

Rozwścieczona żmija podniosła głowę i rozwarła jeszcze szerzej paszczę; ale Mocobój z wyteżeniem śledził każde jej poruszenie. Śmiało, z błyszczącymi oczami, czekał stanowczej chwili.

— Ha, widzisz, że się mnie boisz! — zasyczała szyderczo; oczy jej pałały złowrogim ogniem... nagle rzuciła się, chcąc go porwać za głowę. Ale Mocobój przewidział jej zamiar i, zanim zdołała go skutecznie, chwycił ją wszystkimi ząbkami pod dolną szczękę.

Ból i zdumienie odebrały jej na chwilę przytomność; rozwinęła ciasne pierścienie, któremi dławiła Mocoboja, on zaś tem głębiej wpił się w jej ciało. Krew płynęła strumieniem; żmija zwracała się to w prawo, to w lewo, kręciła głowę, rzucała się na wszystkie strony, chcąc się pozbyć nadspodziewanie silnego przeciwnika, ale naderemnie! Mocobój wgryzł się w nią z wściekłością rozpaczy... toż tu chodziło o śmierć lub życie.

Chyżomir umknął w głąb lasu, a Kłopotek drżący i wyblady przypatrywał się zdaleka tej okropnej walce.

— Ach... gdybym ja był Blufblafem — wzdychało biedactwo — jakżebym leciał na pomoc braciszкови! Czemużem tak słaby, taki małeńki, umiem tylko płakać i narzekać.

Widząc jednak, że pojedynek przeciąga się coraz dłużej, że Mocobój ostatnie siły już dobywa, zebrał całą odwagę i skoczył ku walczącym. Drobnymi jak szpilki zębami, chwycił żmiję za ogon i kasał ją tak dotkliwie, że wiła się z bólu, jak szalona.

Gwałtownym rzutem całego ciała zdołała wreszcie odrzucić daleko od siebie Mocoboja, co widząc, Kłopotek czmychnął jak strzała i schował się pod szeroki liść łopianu.

Drżąc ze złości całym ciałem, uciekała żmija z pola walki.

— Nie daruję wam tego upokorzenia, chłystki przekłete! — syczała ponuro. — Tu, na tem miejscu przysięgam wam krwawą zemstę. Jeszcze się zobaczymy!

Szczęśliwym trafem Mocobój wyszedł cało z pojedyńku, a radość z odniesionego zwycięstwa krzepiła zwątlone walką siły. Nie mógł się dość nachwalić przytomności i odwagi Kłopotka i zapewniał go, że bez niego nie byłby w stanie obronić się silniejszej od siebie żmii. Małeństwo nie posiadało się z radości. Wkrótce i Chyżomir przyłączył się do braci, ale smutny był i przygnębiony; nie, nawet wesołe szczebiotanie Kłopotka, nie zdołało mu wrócić dobrego humoru.

Około południa zaszli w prześliczną okolicę. Pyszne tam były wzgórza gliniaste, o prostopadłych prawie ścianach, a w nich szczeliny, kryjówki niedostępne dla węzów. Leżały tam i stosy kamieni, pod które można było jak nie się wsuwać w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Cienistych altanek było tam bez liku, a zwierzyny... co serce zapragnie.

— Tutaj się osiedlimy; — zawyrokował Mocobój — już chyba lepszego miejsca na całej ziemi się nie znajduje. Tu będzie najbezpieczniej dla Kłopotka.

— Piękna i bogata kraina — rzekł Chyżomir z westchnieniem. — Obyście tu zdrowo i szczęśliwie żyli... ja z wami pozostać nie mogę.

— Chyżomirze! — zawołał Kłopotek — patrz, jakie tu roje muszek: zielone, niebieskie, czarne; wystarczy dla nas trzech, aż nadto.

— Muszę was opuścić — odparł Chyżomir poważnie i stanowczo. — Stchórzyłem, uciekłem, gdy Mocobój, walcząc ze żmiją, najbardziej ratunku potrzebował, a jednak dzień przedtem przysiągłem mu wierną pomoc. Puśćcie mnie, niech idę w świat; chcę walczyć i zwyciężać i nie pierwszej do was powrócę, aż zmyję tę plamę z mego honoru. Może zdołam zejść aż do Egiptu, do ojczyzny słońca, gdzie mieszkają nasi krewni krokodyle; gdy się słońce ukaże z rana na niebie, gdy się będziecie wygrzewać w jego promieniach, pomyślcie, że was temi promieniami pozdrawiam, że cierpię pokutę za grzech przeciw miłości braterskiej i... nie zapominajcie o mnie.

Mocobój uściskał go serdecznie i rzekł:

— Sza, unek uczciwych stworzeń, jest największym dobrem, jak nas uczyła ciocia żaba. Idź, bracie, i czyni, co ci honor nakazuje.

Kłopotek zalewał się łzami i długo, długo patrzył za odchodzącym Chyżomirem, którego pancerz połyskiwał srebrzysto.

— Już mi tylko ty jeden pozostałeś na świecie! — zawołał płacząc — ach, Mocoboju... czy i ty mnie opuścisz?

— Przenigdy! Chodź braciszku, poszukamy sobie mieszkania; sam wybierzesz norę, jaka ci się będzie najlepiej podobała. Pozostanę zawsze z tobą i będę ci pomagał tak serdecznie w każdej potrzebie, jak mię ty dziś od żmii broniłeś.

Nadeszła jesień, coraz było zimniej; jaszczurki zagrzebały się w głębokich norach podziemnych, a gdy spadł pierwszy śnieg na łąki i pola, wszystko już spało twardym snem zimowym: i matka, i ciocia żaba, i Grubo-

sław w swej wygodnej kryjówce i Kłopotek przytulony do Mocoboja.

O Chyżomirze nie było ani wieści. Może gdy kwiatki zakwitną na nowo, gdy żaby w stawach skrzeczeć zaczną, a ciepłe słońeczko obudzi uśpione jaszczurki, może i on wtedy powróci. Ale do Egiptu daleko, kto wie, czy zaszedł, czy nie zginął marnie: życie biednej jaszczurki narażone jest na tyle niebezpieczeństw...

(d. n.)

S Z A R A D A

Przez M, jestem owocem barwnym i soczystym,
Do wdzięcznej buzi często bywam porównana.
Przez K, jako krzew bujny nad potokiem czystym.
Z pięknej piosnki wam wszystkim pewno jestem znana.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.
ułożył Rybak z n. Wisły.

K o n t n y o o

Zastąpić kropki i gwiazdki literami, aby środkowy rząd utworzył stolicę państwa europejskiego. Rzędy poziome: 1) Miasto na wyspie Nipon. 2) Miasto w Galicyi nad ruską granicą. 3) Rzeka, wpadająca do morza Czarnego. 4) Jedna z największych wysp japońskich. 5) Środkowa i najwynioślejsza część Karpat. 6) Miasto w Szląsku nad rzeką Oppą. 7) Miasto w półn. Afryce. 8) Miasto portowe nad morzem Czarnem. 9) Rzeka we Włoszech. 10) Miasto włoskie, dawna Rzeczpospolita. 11) Miasto szląskie n. rzeką Odrą. 12) Przylądek w zachod. Afryce. 13) Miasto nad Wisłą. 14) Dopływ rzeki Werry.

REBUSIK.

pod pod pod pod	ste ste ste ste
pod róży pod	ste pie ste
pod pod	ste ste
pod pod pod pod	ste ste ste ste

mieć i dym-ka

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Szarady: Kor — we — ty.

Łamigłówni sylabowej:

- 1) Suwałki. 2) Iturup. 3) Elżbieta (św.) 4) Nowogród. 5) Kielce. 6) Izar. 7) Erie. 8) Wilanów. 9) Iris. 10) Chińczyk. 11) Zaleski.
Sienkiewicz i Paderewski.

Zadania konikowego:

Bez Boga nie dojdiesz proga, a z Bogiem na morze.

Skrzynka do listów.

Murzynka sprawiła nam wielką przyjemność swoim listkiem, obfitującym w tak ciekawe szczegóły; prosimy ją, by jak najczęściej chciała pisywać do nas. Mam nadzieję, że i młodsza siostrzyzka Jadzia powiększy z czasem liczbę naszych korespondentek. Odgadywanie szarań i zagadek nie jest znowu rzeczą tak trudną, z początku potrzeba dużo uwagi, trochę cierpliwości, a później nabiera się coraz większej wprawy i trudniejsze zadania rozwiązuje się z łatwością. Jaskółka wdzięczna za pamięć, Murzynkę pozdrawia serdecznie.

Otrzymałszy szaradę od Jodelki, zobaczymy czy się okaże odpowiednią do druku. List Jodelki tak porządnie napisany, że wiele starszych panienek mogłoby się na nim wzorować.

Nusi Rzew. w Kijowie wysyłał żądany początek powieści. Cieszymy się bardzo, że Wieczory czytają z zajęciem obiedwie siostrzyzki. Jaskółka jest przyjaciółką, wszystkich czytelników, ale nie możemy zdradzić jej nazwiska ani imienia. List tak porządnie i czytelnie napisany, że przeczytaliśmy go z przyjemnością.

Rs. 1 od Wiewiórki oddaliśmy na kolonie letnie, a obrazki dla chorych dzieci w szpitaliku; za wszystko dziękujemy.

Genia B. nie podała nam swego adresu, więc pomimo chęci nie możemy jej wysłać początku powieści.

Również i Dora S. przysłała adres niedokładny, bez którego niepodobna spełnić jej życzenia, prosimy, aby kochani czytelnicy podawali zawsze stacyę, gdzie pismo odbierają. Rozwiązanie szarady i łamigłówek zupełnie dobre jak również bardzo dobre nadesłała nam jak zwykle Reginka Sz.

Witam cię, Litwinko, i ciebie także, Lilijko, i z przyjemnością zaliczać was będę do grona moich stałych korespondentek. Niteczkę Aryadny oddałam Redakcyi, jeżeli będzie dobrą i nie za wielką, to ją wydrukują. Dodatki z początkiem powieści byłyby wam zaraz wysłane, gdyby nie brak adresu, który zapomnieliście dołączyć. Dla Lilijki postaramy się o ciekawe szarady i nową komedijkę niebawem drukować będziemy.

Tak ślicznie napisanym i ciekawym listkiem obdarzyłaś mnie, Żabko zielona, że mam go aż parę razy z przyjemnością odczytywać.

Jedną tylko małą rzecz mam ci do zarzucenia, to mianowicie, że za nadto ceremonialnie nazywasz mnie „Szanowną Jaskółką” — ja dla was jestem sobie zwykłym ptaszkiem, który choć nieznany wam osobiście, w sercu ma duży zapas przyjaźni i życzliwości dla każdej ze swoich kochanych przyjaciółeczek. Zadania na roboty w zimie Redakcyi ogłaszać nie może, bo większa liczba panienek zajęta naukami niema czasu na życie. Wszelkie znoszone sukienki i ubranie są przez nas zawsze z wdzięcznością przyjmowane, a następnie rozdajemy je pomiędzy biedne dzieci, których niestety nie brakuje nigdy. Łamigłównę sylabową złożyłam w Redakcyi.

I Strumyczek nie dołączył adresu, zapominając, że jest to główny warunek, gdy się chce brakujący numer lub dodatek mieć wysłany natychmiast. Rozwiązania przysłałaś bardzo dobre. Nie mam ci za złe długiego milczenia, bo wiem z doświadczenia, jak przy pracy czas szybko ucieka, rada przecież jestem każdej twej odezwie. Polecam się i nadal twojej przyjaźnej pamięci.

Nigdy jeszcze nie było wypadku, by list od której z was znużył mnie, lub był przyjęty niechętnie. Pisz jak chcesz najczęściej, Perło Uryńska, a na każdy twój listek z miłą chęcią odpisywać będę. Prosiłam, by twoją łamigłównę, o ile okaże się odpowiednią, umieszczono jak będzie można najprędzej, jeżeli ci to sprawi tak wielką przyjemność.

Jaskółka.